

# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 44

Katowice, 6-go listopada

1932

## Na niedzielę dwudziestą piątą po Świątkach.

### EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza rozdz. 13, w. 31—35.

W on czas: Mówił Jezus do rzesz tę przypowieść: Z królestwem niebieskiem rzecz ma się podobnie jak z ziarnkiem gorczycznym, które ktoś wziął i zasiał na roli swojej. Mniejsze ono od wszystkich innych nasion, gdy jednak podrośnie, staje się większem od wszystkich jarzyn, przechodzi w drzewo, tak iż ptactwo powietrzne przylatuje i na gałęziach jego się gnieździ.

Powiedział im też inną przypowieść: Z królestwem niebieskiem ma się podobnie, jak z kwasem chlebowym, który wzięła niewiasta i zaczęła w trzech miarach mąki, aż się wszystko zakwasiło.

Wszystko to mówił Jezus rzeszom w przypowieściach; — bez przypowieści zaś nie przemawiał do nich; aby się spełniła przepowiednia proroka, który rzekł:

„Otworzę usta moje w przypowieściach,  
opowiem tajemnice zamierzchłych czasów“.

### NAUKA.

„Z królestwem niebieskiem ma się rzecz podobnie jak z ziarnkiem gorczycznym“...

Podobieństwo o ziarnku gorczycznym i o kwasie chlebowym zastosował Zbawiciel do królestwa niebieskiego na ziemi, t. j. Kościoła św. Lecz z królestwem niebieskiem w duszy ludzkiej, z jej służbą Bożą, czyż niema się także podobnie jak z ziarnkiem gorczycy i kwasem chlebowym?

## Jak spędzić niedzielę?

Każdy człowiek każdy naród, który uznaje istnienie Boga, stara się go także czcić i wielbić. Jest to objaw zupełnie naturalny i zrozumiały. Bóg bowiem jest naszym Stwórcą i Panem. On czuwa nad nami ciągle i kieruje naszymi losami. Ta więc zależność od Boga skłania nas do oddawania Mu hołdu i czci. Pozatem nieskończona miłość Boga i nieograniczone dobrodziejstwa budzą w nas uczucie wdzięczności i ufności. Człowiek stara się odwdziżyć Bogu, odplacić Mu miłością za miłość. Czyni to w rozmaity sposób. Każda modlitwa, każda dobra myśl, każdy czyn spełniony z myślą o Bogu jest uwielbieniem Stwórcy i Pana Najwyższego.

Nie zadawała się człowiek tylko tem. Wiemy dokładnie, że już w najdawniejszych czasach przeznaczali ludzie pewne dni w roku dla oddania Bogu szczególnej czci. Były to tak zwane dni święte czyli święta. W tych dniach odrywali się wszyscy od zwykłych zajęć zapominali o troskach codziennych, a całą swą uwagę zwracali na Boga. O Nim myśleli w tym czasie, Jemu się zupełnie oddawali

Nagle nawrócenia są rzadkie, są dziełem szczególnej łaski Bożej. Zwykle droga do Boga to powolne a wytrwale wspinanie się.

„Wchodzeniem, wspinaniem się, nie zaś nagłym wzlotem dosięgniesz najwyższego szczytu niebieskiej drabiny“, powiada św. Bernard. Czyż na każdym kroku nie widzimy, że wszystko powoli się staje? Małeńkiem, bezsilnem jest niemowlę; słabe rączka nie mogą utrzymać nawet małej zabawki; wątłe nóżki nie zdolne udźwignąć małego ciała. A przecież z tego niemowlęcia wyrasta człowiek. którego ramiona i wielkich mają się ciężarów, którego nogi długie wytrzymują wędrówki. Czas to „działał, nie żaden nagły, wielki wysilek.

„Droga do piekła wybrukowana jest dobrmi postanowieniami“, mówimy. Czemu? Bo postanawiamy sobie za wiele naraz.

„Gdybyśmy co roku jedną tylko wadę w sobie wytepiłi, wnet stalibyśmy się świętymi“, czytamy u Tomasza a Kempis. Do św. Bernarda przybył grzesznik osiwiaty w nałogu nieczystym. Święty zapłakał nad jego duszą i użył wszelkiej wymowy, by go skłonić do wyrzeczenia się grzechu, choćby tylko przez kilką tygodni. „Nie mogę“.

„Powstrzymaj się przez trzy dni“. To przyrzekł i wrócił po trzech dniach uszczęśliwiony; nie popełnił grzechu. „Jeszcze przez trzy dni“. I znów i jeszcze raz. Potem przez tydzień. Aż rozerwał pęta nałogu i odetchnął swobodnie.

Zacznij od małych rzeczy. Tą drogą dojdiesz do Boga. Amen.

Żydzi za szczególnym rozkazem Bożym święcili każdy siódmy dzień tygodnia czyli sobotę (szabat). Dzień ten był przeznaczony tylko na służbę Bożą. W Pięcioksięgu Mojżesza tak czytamy: „Sześć dni będziecie robić: dzień siódmy, że jest odpocznienie sabatu będzie nazywan święty. Żadnej roboty weń robić nie będziecie. Sabat Pański jest we wszech mieszkaniach waszych“.

W Nowym Testamencie święcimy zamiast soboty, niedzielę, to znaczy pierwszy dzień w tygodniu. Zmiana ta nastąpiła zaraz w pierwszych czasach chrześcijaństwa, jeszcze za życia Apostołów. Stało się to na pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego i Zesłania Ducha Świętego, które to uroczystości przypadły w niedzielę. Przez święcenie niedzieli, a nie szabatu odróżniali się też wyraźnie chrześcijanie od Żydów, z którymi w owych czasach dużo pogan ich utożsamiało.

Zachowały się do dziś dnia przepiękne opisy jak pierwsi chrześcijanie spędzali niedzielę. Mianowicie w dniu tym — tak czytamy u Ojców Kościoła — zbierali się wierni na łamanie chleba czyli na Mszę św. Wszyscy też przystępowali do Stołu.

Pańskiego. Na ubogich zbierano składki, odwiedzano chorych, pocieszano strapionych.

Dziś Kościół wyraźnie nakazuje, by każdy wierny brał udział w ofierze Mszy św. w niedziele i święta. Każdy przeto jest do tego zobowiązany. Ale na tem tylko nie wolno nikomu poprzestawać. Należy także w niedzielę wysłuchać kazania. Trzeba też o ile możności brać udział w innych nabożeństwach tego dnia, dalej zająć się czemś pożytecznym, np. przeczytać dobrą książkę, posłuchać pouczającej nauki i t. d.

Są jednak zawsze jeszcze ludzie, którzy mówią, że nie wiedzą, co mają w niedzielę ze sobą robić. Wykonywać zajęć służbowych nie wolno, więc cóż czynić całe popołudnie? Najlepiej chyba jeszcze pójść do karczmy! Dziwni to zaprawdę ludzie! Każdy człowiek przecież oprócz potrzeb materialnych ma także potrzeby duchowe. Dusza jego potrzebuje też pokarmu. A na to właśnie jest przeznaczona niedziela. Człowiek może się wtedy dokładniej zastanowić nad samym sobą, wejść w siebie. Po całotygodniowej pracy winien każdy oderwać wzrok od ziemi, a zwrócić go ku wyższemu celom, zbadać swe sumienie. Bardzo poleca się przeczytać jakąś książkę, by się dowiedzieć czegoś nowego a pouczającego. Kto ma rodzinę, niech w jej gronie spędzi ten dzień. Czy to nie lepiej wspólnie z całą rodziną lub rodzeństwem pomówić o tem i o owem, wzajemnie opowiedzieć sobie radości i smutki, niż bezmyślnie tracić czas na grze w karty lub na pijaństwie. Poleca się też odwiedzanie chorych, pocieszanie strapionych. Niewiele to nas kosztuje, a im ileż to sprawia zawsze radości. Niedziela winna być dla nas dniem pracy dla duszy, dniem, w którym szczególnie dużo spełniamy dobrych uczynków.

O ile tak spędzimy niedzielę, wtedy naprawdę uświęcimy ten dzień, sprawimy, że będzie on dla nas źródłem siły i mocy duchowej. Ustrzeżmy się też fałszu i obludy faryzeuszów. Przestrzegając tylko litery prawa a nie stosując się do jego ducha wzbraniłi się oni podać dłoń cierpiącemu bliźniemu. Inaczej tymczasem uczynił Pan Jezus. On chętnie uzdrowił chorego. Podobnie i my starajmy się zawsze, a szczególnie w niedzielę, czynić dobrze. Tem świętszą będzie dla nas niedziela, tem świętszy każdy dzień, im więcej w nich dobrego zdziałamy.

X.

## Święty Karol Boromeusz

4 listopada.

Na początku wieku XVI odczuwać poczęły umysły światlejsze i szlachetniejsze potrzebę naprawy we wszystkich dziedzinach życia. Herezje Lutra, Kalwina i in. zawichrzyły sumieniami narodów, wskrzeszenie pogańskich kierunków w sztuce i naukach bałamuciło pojęcia ludzi i rozluźniało obyczaje, a monarchowie europejscy wywoływali groźne zamieszki polityczne i religijne. Któż więcej mógł być powołanym do przeprowadzenia koniecznej reformy, jeśli nie Kościół Powszechny, którego podstawom poważne także zagrażało niebezpieczeństwo? Papieże owych czasów, od Pawła III. począwszy, otwierali wrota owej reformie katolickiej, a zwłaszcza zasłynął pod tym względem Pius IV., za którego mógł rozwinąć swą nadzwyczajną, błogą i błogosławioną działalność św. Karol Boromeusz.

### Lata młodzięcze.

Urodzony 2 października 1538 r. na rodowym zamku możnej rodziny Boromeuszów, Arona, nad Lago Maggiore w północnych Włoszech, spędził młodość zdala od światowego zgiełku pod wpływem bogobojnych i dobroczynnych rodziców. Jak za lat dziecięcych zabawiał się ustawianiem małych ołtarzy i kapliczek, tak za lat szkolnych w Medjolanie w wolnych chwilach odwiedzał kościoły. Uspodobienia cichego i skromnego, rokował wczesnie powołanie do stanu duchownego i jako jedenastoletni chłopiec otrzymał święcenia i przywdział suknię duchowną. Wysłany na uniwersytet do Pawji przerwać musiał naukę z powodu śmierci ojca, ażeby, jakkolwiek nie najstarszy z rodzeństwa, zająć się podziałem ojcowskiej spuścizny. W chwili, gdy ukończył studia, wuj jego, Giovan Angelo Medici, wstąpił na tron Piotrowy jako papież Pius IV. 1559 roku.

### Na dworze papieskim.

Zwyczajem ówczesnych papieży, którzy lubili otaczać się swoją rodziną, powołał zaraz na swój dwór siostrzeńców swych Fryderyka i Karola Boromeuszów. Co jednak w innych wypadkach mogło być nadużyciem, to tym razem było wielką zasługą, gdyż przy boku Piusa IV. stanął odtąd mąż wielkiego ducha, który, pełniąc wolę swego zwierzchnika, sam umiał wynaleźć i przeprowadzić skuteczne sposoby naprawy. Odznaczony przez wuję godnością kardynała i sekretarza stanu, nadał urzędem swym kierunek nawskroś duchowny, a życie surowe, powaga i skromność różniły go rdzennie od poprzedników. Zarząd państwa kościelnego spoczywał w jego ręku i również przez jego ręce przechodziła cała korespondencja papieża, co wprowadzało młodego kardynała w szeroką politykę europejską. Widząc niedomagania dawnych zarządzeń, zabrał się gorliwie do zreformowania czy to wadliwego wymiaru sprawiedliwości, czy to do polepszenia dobrobytu poddanych papieskich.

Przyjąwszy w tajemnicy po śmierci starszego brata święcenia kapłańskie, aby uwolnić się od nagabywań rodziny, która chciała w nim mieć głowę i podporę rodu Boromeuszów, dążył do coraz większej doskonałości wśród zaszczytnych odznaczeń, gdyż otrzymał także arcybiskupstwo rodzinnego Medjolanu. Oddawał się z zamiłowaniem odnawianiu zrujnowanych świątyń rzymskich, jak św. Marcina, św. Praksedy, S. Maria Maggiore i in. Oczyszczył ześwieconą muzykę kościelną, powołując do tego sławnego a zapoznanego przedtem, mistrza Palestrinę, oraz otaczał opieką uczonych tak duchownych, jak świeckich. Gromadził ich na naukowe rozprawy późnym wieczorem w komnatach swych na Watykanie, a zebrania te, nazwane nocami watykańskimi, Noctes Vaticanæ, nabrały tak zaszczytnego rozgłosu, że ubiegano się, aby w nich brać udział. W Pawji zaś, gdzie ukończył nauki, założył konwikt dla uboższych słuchaczy.

### Św. Karol a Sobór Trydencki.

Wkrótce po wstąpieniu na Stolicę Apostolską postanowił Pius IV. doprowadzić do ukończenia przerwany dwukrotnie sobór trydencki. Wszelkiewładne stanowisko, które zabierali wobec soboru Filip II., król hiszpański, regentka francuska, Katarzyna Meczydejska, i cesarz niemiecki, Ferdynand I., oraz ich współzawodnictwo i sprzeczność interesów krzyżowały ciągle plany papieża, tak że dopiero

w roku 1562 sobór został otwarty po raz trzeci. Jakkolwiek Karol Boromeusz nie był na nim osobiście, był jednak z Rzymu jego współkierownikiem i duchem ożywczym, a pomagał mu w tem wydajnie kardynał-legat Giovanni Morone, przewodniczący posiedzeń. Uznawszy ważność dekretów, wydanych w poprzednich okresach soboru, wyjaśniono wszystkie prawdy wiary, które nowatorzy religijni zaczepiali, i przeprowadzono od podstaw naprawę hierarchji kościelnej. Cały ustrój Kościoła katolickiego odtąd aż po nasze czasy oparł się na uchwałach Soboru Trydenckiego.

Wspaniałe jego zakończenie odbiło się radośnym echem w sercu Karola Boromeusza, gdyż teraz mógł z zdwojoną gorliwością oddać się wypełnianiu zadań, które najprędzej dały się urzeczywistnić. Porucił wracającym z Trydentu teologom ułożenie nowego katechizmu rzymskiego, który stał się kością pacierzową rzeczywistego życia katolickiego. Ograniczył swój własny dwór i pomagał papieżowi usunąć z jego otoczenia nadmiar dworzan i rezydentów, zaprowadzając oszczędność i prostotę w miejsce świeckiego zbytku i świetności. Odtąd też biskupi objąć musieli swe rezydencje w diecezjach, zamiast przebywać w Rzymie, a zmiany sięgające głęboko w ustrój duchowieństwa zaczęły się zaznaczać coraz wyraźniej.

#### Na stolicy św. Ambrożego.

Gdy św. Karol uważał swe rzymskie zadanie już za ukończone, nadeszła i dla niego upragniona dawno oczekiwana chwila przeniesienia się do swej arcybiskupiej stolicy w Medjolanie, na co nie mógł uzyskać pozwolenia za życia Piusa IV. Teraz, po jego zgonie, mógł pokazać, jakim powinien być biskup katolicki wedle ducha soboru trydenckiego. Do diecezji swej nie przyjechał z próżnymi rękami, przywiózł dla niej nowo opracowany katechizm, mszał i brewjusz. Otoczył się ludźmi doborowymi, dom własny urządził na modłę klasztorną, zwoływał synody diecezjalne i sobory prowincjonalne, aby wspólnie z duchowieństwem i biskupami radzić nad potrzebami wiernych. Otworzył w krótkim przeciągu czasu pięć seminariów, wybierając osobiście kleryków i badając stan ich duszy i umysłu. Zakładał kolegia i szkoły świeckie, które z skromnych nauk niedzielnych wzrosły w wielkie stowarzyszenie szkół nauk chrześcijańskich.

Największą gorliwość rozwijał św. Karol w nieustannych wizytacjach diecezji, która, zaniedbana przez lat dziesiątki i gnębiona walkami, ponury przedstawiała widok. W podróżach swych po rozległych przestrzeniach, odbywanych na koniu albo na mule, często i pieszo po niedostępnych przełęczach górskich, żywił się prostą strawą, mieszkał choćby w ubogiej chacie, jedynie przy nabożeństwach rozaczał pełen poboczności majestat i powagę. Był pierwszym z biskupów, który w owych czasach wcielał w ten sposób zasady wielkiego soboru. A jednak walczyć musiał z przeciwnikami reformy, którzy buntowali się przeciwko jego surowym zarządzeniom, a nawet uknuli zamach na niego. W czasie wieczornej modlitwy w oratorjum arcybiskupiem, którego drzwi stały zawsze dla wszystkich otworem, zbrodniarz przekupiony, Farina, chciał wystrzelać pozbawić go życia, lecz kula w cudowny sposób osunęła się po szatach arcybiskupa.

Cóż dopiero mówić o poświęceniu Karola Boromeusza w czasie morowej zarazy w Medjolanie?

Pierwszy śpieszył z pomocą chorym i konającym udzielając sam Ostatnich Sakramentów tym z swoich księży, którzy padli na posterunku służby samarytańskiej. Zaopatrywał szpitale, ogołocając ze wszystkiego pałac arcybiskupi, tak że dla niego nie stało nawet łoża, które zastąpiono twardymi deskami. Starał się o ciepłą odzież, o przytułek i zarobek dla tłumu ubogich, oblegających jego mieszkanie i organizował opiekę nad pozostałymi sierotami. Gdy po zarazie morowej przyszły lata nieurodzaju i klęski głodowej to znów on najpierwszy sprowadzał zboże i otwierał publiczną kuchnię pod portykiem (podsieniem) swego pałacu. A wobec takiej pełni pracy żył w ciągłej modlitwie, rozmyślaniu i umartwieniu, skupiony w sobie jak pustelnik.

#### Śmierć św. Karola.

Po dwudziestoletnich błogosławionych i owocnych rządach, wyczerpany fizycznie, lecz uświęcony na duchu, odpawiwszy dziwnem rządzeniem Opatrzności ostatnią mszę św. w rodzinnej Aronie, zaniemógł ciężko i przewieziony do Medjolanu odszedł do nieba 3 listopada 1584 roku, przykryty włosienicą i posypany popiołem. Cichemu majestatowi jego śmierci towarzyszyły błagalne modły wiernych, psalmy i litanje bractw obchodzących kościoły, łzy i lamenty oddanego mu i wdzięcznego ludu.

W jednej z kaplic medjolańskiego tumu widnieje prosty, drewniany krzyż, zaliczony do najdroższych dla mieszkańców pamiątek. To krzyż św. Karola, który nosił w procesji w czasie morowej powieży, gdy w szacie pokutnej, z powrozem na szyi stapał boso, wpatrzony w postać Ukrzyżowanego. W podziemiach zaś spoczywają jego zwłoki w szklanej trumnie, spowite w zbutwiałe szaty pontyfikalne i przybrane klejnotami, od których światło bije na całą kaplicę, tak, jak z jego dachu i przykładu, jak ze świecy na wyniosłym świeczniku, pada blask przyświecający po wsze czasy Kościołowi.

P. C.

Władysław St. Reymont.

## Dzień Zaduszny.

(Wyjątek z powieści „Chłopi”).

...Deszcze ustały, drogi ociekły i stężały nieco, wody spłynęły, że ino po bródach, a gdzie niedzie i po nizinach a łęgach siwiły się mętne kałuże — kiej te oczy zapłakane...

Nadszedł dzień Zaduszny, szary, bezsłoneczny i martwy, że nawet wiatr nie przeganiał zeszlęmi badyłami, ni chwał drzewami, co stały ciężko pochylone nad ziemią...

Bolesna, głucha cisza przygniotła świat.

A w Lipcach już od rana dzwony biły wolno a bezustannie, i żalosne, rozbolełe dźwięki pojękiwały po omglonych, pustych polach; ponurym głosem żaloby wołały w ten dzień smętny, w ten dzień, co wstał błądy, spowity w mgły aż do tych dał zapadłych, aż do tych bezkresów ziemi i nieba, siny, do niezgębionej topieli podobny.

Od zórz wschodnich, co się jeszcze żarzyły blade, kieby ta miedź stygnąca, z pod sinych chmur zaczęły płynąć stada wron i kawek...

Szły wysoko, wysoko, że ledwie okiem rozszedł i ledwie uchem pochwyił tę dziką, żalosną wrzawę krakań, podobną do jeków nocnych jesionnych...

A dzwony biły wciąż...

Ponury hymn rozlewał się ciężko w martwym, ogłuchłym powietrzu, opadał na pola jękami, huczał po wsiach i lasach żalnością, płynął światem całym, że ludzie, pola i wsie zdały się już być jednym wielkiem sercem, bijącym skargą żalną...

Ptactwo płynęło wciąż, aż dziw i lęk ogarniał, bo szło coraz niżej, i coraz większymi stadami, że niebo pokryło się jakby sadzą rozwianą, a głuchy szum skrzydeł i krakań wzmacniał się, potężniał i huczał niby burza nadciągająca... Zataczały kręgi nad wsią i jak kupa liści, porwana przez wichurę, kołowały nad polami, opadały na lasy, zwieszały się na nagich topolach, obsiadły lipy przy kościele, drzewa na cmentarzu, sady, kalenice chałup, płoty nawet... aż zestraszony bezustannym biciem dzwonów, zerwały się i czarną chmurą leciały ku borom... a ostry, przenikliwy szum płynął za nimi.

— Ciężka zima będzie! — mówili ludzie.

— Do lasów ciągną, ani chybi, śniegi wnet spadną.

I wychodzili przed chałupy coraz liczniej, bo nigdy jeszcze nie widziano tyle ptactwa razem — patrzano długo, ze smutkiem dziwnym, aż znikły w borach. Patrzano, wzdychano ciężko, jaki taki znak krzyża położył na czole w obronie przed złem i jeśli się przyodziewać do kościoła i wychodzić, bo dzwony wciąż jęczały głucho, a z drugich wsi już szli ludzie drogami, majaczyli wskroś mgieł po ścieżkach i drózkach.

Smutek przejmujący padł na wszystkie dusze; jakaś dziwnie bolesna cichość omotała serca — cichość rozpamiętywań żalośliwych i wspominek o tych, co już byli odeszli tam, pod te brzozy zwieszane, pod te czarne, pochylone krzyże...

— Mój ty Jezu kochany! Mój Jezu! — wzdychali i podnosili szare jak ta ziemia twarze i topili oczy beztrwożne w tajemnicy i szli spokojnie składać ofiary i pacierze za zmarłych.

Wieś była jakby zatopiona w ciężkiej, żalośliwej ciszy — jeno jęklive, prośalne śpiewania dziadów z pod kościoła dochodziły czasami...

...Popołudniu, na nieszpory, jakie się odprawiały raz w rok w cmentarnej kaplicy, pociągnęli wszyscy od Boryny.

Dzień już przywierał szare, zmęczone powieki, gasnął i zapadał zwoina w przerażające, smutne topiele zmroków; wiatr się poruszył i przeciągał po polach z jękiem, tłukł się między drzewami a wionął surowym, przegniłym tchem jesieni.

Cicho było, tą dziwną posępną cichością zaduszek; tłumy szły drogą w surowym milczeniu, ino tupot nóg się rozlegał głucho, ino te drzewa przydrożne chwiały się niespokojnie i cichy, a bolesny szum gałęzi drżał nad głowami, ino te drgania i śpiewy prośalne dziadów łkały w powietrzu i opadały bez echa...

Przed wrótniami, a nawet i wśród mogił pod murem, stały rzędy beczek-solówek a obok nich rozkładały się gromady dziadów.

A naród płynął całą drogą pod topolami ku cmentarzowi; w mroku, co był już przytrząśniętym światem jakby popiołem szarym, błyskały światła świeczek, jakie mieli niektoży, i chwiały się żółte płomyki lampek maślanych, a każdy, nim wszedł na cmentarz, wyciągnął z tobołka chleb, to ser, to ździebko stoniny, albo kiełbasy, to motek przedzi lub tę przysgarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek i składali to wszystko pobożnie w beczki — a były one

księżę, były organistowe i Jambrożego, a reszta dziadowskie, a któren w nie nie kładł, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte ręce dziadowskie... i szeptał imiona zmarłych, za które prosił o pacierz...

Chór modłów, śpiewów, imion wypominanych jęklwym rytmem wznosił się wciąż nad wrótniami, a ludzie przechodzili — szli dalej, rozpraszały się wśród mogił, że wnet, niby robaczki świętojańskie, jeły jaśnieć i migotać światelką wskroś mroków i gąszczów drzew i traw zeschniętych.

Głuchy, przyciszony trwożnie, szeptał pacierzy drgał w przyziemnej ciszy; czasem szloch bolesny zerwał się z mogił; czasem lament żalony wił się w rozdzierających skrętach wśród krzyżów; to jakiś nagły, krótki, nabrzmiął rozpaczą krzyk jak piorun rozdzierał powietrze, albo ciche płacze dziecięce, sieroce płacze kwiliły w omroczonej gąszczach niby pisklęta...

A chwilami opadało na cmentarz głuche i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiły posępnie, a echa płakań ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żalości, biły ku niebu, w świat cały szły...

Ludzie snuli się wśród mogił cicho, szeptali lęklwie i trwożnie poglądali w dał omroczoną, niezgłębioną...

— Każdy umiera! — wzdychali ciężko z kamienną rezygnacją, i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi na życie, głusi na śmierć, głusi na ból — jak te drzewa, i jak te drzewa kolebały się im dusze w sennym poczuciu trwogi...

— Jezus mój! Panie miłosierny, Marjo! — rwało się im z dusz umęczonych zamętem i podnosili twarze zakrzepłe i wyczerpane jak ta ziemia święta, a oczy szare niby te kałuże, co się jeszcze siwiły w mrokach, wieszali u krzyżów i ruchami tych drzew, rozchwianych sennie, osuwali się na kolana; do stóp Chrystusa rzucali serca strwożone i wybuchali świętym płaczem oddania i rezygnacji...

...Noc była coraz głębsza, wiatr mocniej targał drzewami, że długie warkocze brzoź zamiatały po mogiłach, a białe ich pnie, niby gźła śmiertelne, przyodziane, majaczyły w mrokach... Ludzie się rozchodzili... światła gasły... śpiewy dziadów umilkły... milczenie uroczyste, a pełne dziwnych szelestów i głosów przejmujących, zapanowało wśród mogił... Cmentarz jakby się napełniał cieniami... tłumem widm... gąszczem mrocznych zarysów... gędźbą rozjęczonych a cichych głosów... oceanem dziwnych drgań, ruchem ciemności... błyskami trwogi, niemem łkaniem... tajemnicą, pełną przerażenia i zamętu — aż stado wron zerwało się z kaplicy i z krzykiem uciekały na pola, a psy w całych Lipcach poczęły wyć długo, rozpaczliwie, żalnością...

Wieś była cicha mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta, a gdzie nigdzie tylko, przez małe zapocone szybki błyskały światelka i płynęły ciche śpiewy pobożnych, i głośnie modlitwy odmawiane za umarłych...

Z trwogą wysuwano się przed domy, z trwogą nasłuchiowano szumów drzew, z trwogą patrzano w okna, czy nie stoją, nie jawią się ci, co w dniu tym błądzą przygnani tęsknotą i wołą Bożą... czy nie jęczą pokutniczo na rozstajach... czy nie zaglądają przez szyby żalnością?...

Wśród ciszy, smętku, rozpamiętywań, lekko płynął ten wieczór Zaduszek...